PRZY KOMINKU.

przez

WINCENTEGO KOŁŁUPAJŁĘ.



WILNO

Drukiem T. Glücksberga Księgarza i Typografa
Białoruskiego Naukowego Okręgu.

1849.

PRZY KOMINKU.

PRZY KOMINKU

przez

WINCENTEGO KOŁŁUPAJŁĘ.

WILNO

Drukiem T. Glücksberga, Księgarza i Typografa
Białoruskiego Naukowego Okręgu.

1849.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przeptsanych w Komitecie Cenzury.

Wilno, 1848 roku 18 Października.

Cenzor Jan Waszkiewicz.

Co mam najlepszego poświęcam Tobie świętéj pamięci ***Marcinie Ciepliński.*** Tobie! któremu za życia niepowstydziłbym się złożyć publicznie hołdu za poczciwość przeszłą przez liczne próby, za zamiłowanie obowiązków człowieka, za niezłomną moc duszy w najokropniejszych cierpieniach cielesnych i moralnych.

PAN CHORĄŻY.

GAWĘDA SZLACHECKA.

ZA PRZEMOWĘ.

I znowu Poezja! — a to już przechodzi granice mojéj cierpliwości — ani się obrócić żeby jéj nienapotkać, ani się ukryć żeby niewyszukała; uciekaj w lasy i tam cię wytropi; — nieraz ona naszego poczciwego współobywatela w zakącie nawet głuchéj ustroni, jak truflę pulchną i okrągłą zwietrzyła i wykopała — wszędzie za tobą jęczy, narzeka, upomina aż się serce ściska, podobnie ostrydze zakropionéj cytryną. — Powiedz mi Wasani, za jakie ciężkie grzechy mnie się uczepiłaś? deklamujesz o swych wzniosłych uczuciach, o poświęceniu się, a sama niemasz nawet prostéj litości nademną. Azali niewiesz, żeś u nas okryta pośmiewiskiem, szyderstwem, zwłaszcza przy zielonym stoliku; — samo pobratanie się z Wasanią naraża już; — prawdziwie boję się przechodzić ulicą, bo mi się zdaje, że

nas wytykają palcami. Niepojmuję poco do nas wędrować?—radziłbym udać się gdzieś tam na Zachód, na Wschód, na Południe, w końcu gdzie sobie chcesz, a nas zostawić w lubym stanie doskonałego trawienia i wesołego humoru, do czego exaltowane umysły i utwory Wasani Dobrodziejki najwięcéj zawadzają.— Na taką przemowę Poezja podniosła z dumą swe czoło i głosem Mentora odpowiedziała: „Trzymając się zasady, że wszystko wzajemnością odpłacać należy, za prawdę, prawdą oddaję. Czy moja w tém wina, że oprócz kilku, trudno mi było wybrać z pomiędzy was godnych posłannikow? — ale ja i wierszokletami niegardzę, owszem błogosławię im — jest to gmin mój pracowity jak mrówka, który po jedném ziarnie ideje moje rozniesie, rozsadzi, rozkrzewi. Łącznie z chorem waszych Pedagogów narzekacie, żem opanowała Litwę — Bóg wie, co i gdzie jest potrzebném;— na choroby endymiczne dał On miejscowe zioła i żrzodła, na wasze, naprzykład kołtuny i szkrofuły, macie druzgienickie wody.

Owoż i w świecie moralnym toż samo się dzieje;— wedle rodzaju zepsucia pojawiają się zaraz środki zachowawcze;— tak niegdyś Judei spodlonéj i przeniewierczéj zaradzał ascetyzm,— tak ja dziś, śród ludu i kraju najmniéj może poetycznego, mam oddziaływać materjalizmowi.— Litwin zimny, obojętny— widzimy z Historji, że nawet w dzikości swojéj nie miał energji,— prawie bez żadnéj propagandy skruszył swoje Bóstwa Opiekuńcze, bez poświęceń, bez żalu — niewdzięcznie.— Skoro się on oświeci, przeważa w nim żywioł rozumowy — wszyscy rozumują, aż ckliwo — bo też rozumowania ich tak liche, opoźnione, niedołężne, to tylko przynoszą w skutku, że zabijają i tak słabą i karłowatą uczuciowość. Muszę więc pracować z krwawym potem nad wskrzeszeniem otrupiałego serca; gdyż w niém pierwsza pulsacja życia tak fizycznego, jako i moralnego. Według wyobrażeń waszych, uczucie jest jakąś igraszką, wyrazem, dodatkiem;— handlujecie 'go na wygódki, przyjemności zmysłów, na zaspokojenie nałogów.— Co za zbro-

dnia! jakie poniżenie! duchowość poświęcać ciału.— Powiedzcie czém jest Ewangelja jeśli nie samém uczuciem, miłością?— bo miłość jest najwyższą potęgą, mądrością, poezją, Religją nakoniec — a u was przecie tego Króla-ducha, to Bóstwo ziemskie zaprzęgają w jarzmo rozumu, wówczas kiedy przeciwnie, tenże rozum winien z czcią i pokorą stać u progu i oczekiwać na jego skinienia. Widzisz więc missją moją — trudną — wszakże nie tracę nadziei, bo działając na człowieka, wszystko z nim dokazać można.— Napróżno więc mię wyprawiasz,—nieopuszczę waszego kraju; tembardziéj ze chociaż na małéj liczbie, jednakże na niektórych z twoich ziomków lepiéj jak gdziekolwiek, udało się moje natchnienie.“

Autor niniejszéj książki podsłuchał tę rozmowę;— widząc czczoną niegdyś Boginię zdegradowaną już do tytułu W a s a n i, *ośmielił się zapoznać z nią i zaprosić przed swój* Kominek.

KTO PAN CHORĄŻY.

I.

Pan Chorąży dziedzic Hrowicz
Staroświecka, szczéra dusza,
Niegdyś sławny sejmikowicz,
Dziś na sejmik ani rusza.

Nieraz mówi zlany łzami:
— Coto wasze dziś sejmiki,
Niema szlachty z szabelkami,
Same tylko stoduszniki.

Dla rang, mienia dziś są względy,
A opinja w końcie drzymie;
Wprzód mógł każdy mieć urzędy
Byle dobre zyskał imie.

Prawodawstwo wtenczas może
Uszczęśliwić społeczeństwo;
Gdy opinji władzę wzmoże
Dając wszędy jéj *pierwszeństwo.*

Bo opinja nakształt Bóstwa,
Łączy w sobie dwa przymioty:
Karci możnych samolubstwa
Wynagradza biédnych cnoty.

Dotąd pamięć mię pociesza,
Coto sejmik dawnéj daty!
Toć marszałkiem był Kulesza!
Biédny dziedzic kilko-chaty.

SPOTKANIE SIĘ.

II.

Przyszedł odpust w Zahoroniu,
Pojechałem do Kościoła,
Aż ktoś, widzę, dżga na koniu
Macha ręką, na mnie woła.—

To Chorąży na swej siwce
Siedział w łęku jak przykuty.
Był w kontuszu, w rogatywce
I pokręcał wąs swój suty.

Gdy się zbliżył, rzekł zdziwiony:
— Zkąd ta nagła zmiana błoga?
Niedowiarek zaślepiony
Do starego wracasz Boga.

Toć przyznajesz, jak się zdaje,
Że szaleństwo niedowiarstwo;
Bo na wszystkie zła rodzaje,
W jednej wierze jest lekarstwo.—

Niech cię scisnę — dziś z swej łaski
Zajedź do mnie na obiadek,
Dam ci miodku — miodek saski,
Bo go jeszcze pił mój dziadek.

Patrzysz siwkę?.. ha, cóż oczy?
Żary sypią — a jak dzwiga
Kopytami!! a jak skoczy!!
To już przez rów! a jak smiga! —

To wyrzekłszy Pan Chorąży,
Puścił cugle, znikła siwka,
Tylko nad nią w ślad pył krąży,
A nad pyłem rogatywka.

ZAPROSZENIE.

III.

Pan Chorąży był na przyźbie,
Wstał, powitał i wprowadził
Mię do domu — w pierwszej izbie
Na kanapę mię posadził.

Wszystko czyste, staroswieckie,
Stoły, krzesła z dębu były —
Zegar kukał, dwa weneckie
Wązkie, długie lustra lśniły.

Na podłodze, posiekana
Woń rzeźwiącą szle jedlina:

Kot i wyżeł pieszczoch pana
Legły razem u komina.

Rzekł Chorąży — co tu widzisz
To widziałeś będąc żakiem,
Wiém, że za to nie wyszydzisz,
Choć mię inni zwą dziwakiem.

Wolę stokroć to przezwanie,
Niż małpiarstwo — w dziwaczności
Jest moc duszy, przekonanie,
Dwa warunki do wielkości.

Coż przemówi za małpami?
Co bez względu pochwytują
Nowe zdania — co modami
Z pracy chłopków grosz marnują?

Toć nowościom sam nie ganię,
Chętnie pójdę sam za tłumem;
Chętnie zmienię moje zdanie,
Byle one szły z rozumem.

Zachowuję ojców zwyczaj,
W nim przebywa balsam święty
Na poczciwość, na obyczaj;
Nawet po nich strzegę sprzęty.

W przyrodzeniu, w każdej rzeczy,
Jakąś myślbym ci wyłożył;
Bo nikt temu niezaprzeczy,
Że Bóg wszystko myśląc tworzył.

I rzecz ludzka myśl posiada,
Łatwo serce ją wyszuka.
Zawsze wspomnę ojca, dziada,
Kiedy zegar mój zakuka.

Karabela, rzęd złocisty
Krzyż z Chrystusem, Statut święty:
Wszystko dowód oczewisty
Czem ich żywot był zajęty.

Dość gawędy — ot już pora
Coś przekąsić — hej Hilary!
Do objadu daj doktora —
U mnie doktor miodek stary.

Jeśli febra łamie kości,
Gdy żołądek ci nie trawi,
Z romatyzmu, bezsenności,
Ręczę, stary miód wybawi.

WYBOR ŻONY.

IV.

Dano objad smakowity
Zginął indor, pieczeń tłusta
Miodek stary, wyśmienity
Co brał z serca to kładł w usta.

Pan Chorąży dłoń mi ścisnął —
Coś podumał — potrząsł głową,
Wąs pokręcił, wzrok mu błysnął
I tak wyrzekł słowo w słowo.

— „Z twoim ojcem zacnym żyłem
Wiek mój cały jak brat z bratem,
Ileż żalu doświadczyłem
Gdy się rozstał z naszym światem.

Nie mam żony, nie mam dzieci,
A krewniaki wiercipięty!
Ot Hrowicze dom waszeci,
Tylko żeń się mój Walenty.

W wieku młodym miłość wszędzie,
Wszystko bawi, wszystko łudzi;
Ale potém nie tak będzie,
Ty świat znudzisz, świat cię znudzi.

Zechcesz wrócić zawiedziony
Do swéj chaty, do zagonu
I samotny zechcesz żony,
Towarzyszki aż do zgonu.

Lecz na starość poniewczasie —
Późne stadło źle się kleci;
Nie w jesieni kwiat jest w krasie,
Lecz gdy wiosna ognie nieci.

Bałamuctwa porzuć wady,
Nim ubiegną młode lata
Żeń się, żeń się, dam ci rady,
Służyć będę sam za swata.

Lecz w swataniu na początku
To warunkiem będzie głównym,
Byś wziął dziewczę bez majątku,
Lub z majątkiem twemu równym.

Oj! z bogatą bywa słono!
Zaraz fonfry ci pokaże,
Będzie panią a nie żoną,
Tak masz robić jak rozkaże.

Buduj pałac, kupuj stroje,
Szampańskiego lej strumienie,
Aż w ostatku jéj i twoje
Djabli wezmą całe mienie.“—

Tu Chorąży przerwał mowę,
Skłonił głowę i wąs kręci,
Potém nagle podniósł głowę,
Cóś mu przyszło do pamięci.

—„Ot dla ciebie jest dziewczyna,
Jedźmy do niéj jutro zrana.
Ale... ale... Katarzyna
Bóstwem wdzięków okrzyczana.

Jak wiadomo z dawień dawna,
Gdzie gosposia piękność sławna;
Tam nie znaleźć kur, indyków,
Tylko tłumy hołdowników.

Choć mąż będzie strzedz się bacznie,
Gości z domu precz wyparzy:
Żona cierpieć, stękać zacznie,
Będzie wozić jej lekarzy.“—

Tu Chorąży przerwał mowę,
Skłonił czoło i wąs kręci,
Potém nagle podniósł głowę
Cóś mu przyszło do pamięci.

—„Ot dla ciebie jest dziewczyna!
Hołdem młodzi nie zgorszona:
Niedaleko ztąd Malwina.
Ale... ale... zbyt uczona.

Od uczonéj strzeż cię Boże,
Za czytaniem dóm ogłodzi;
Zimno dzieli męża łoże,
Zamiast dzieci książki rodzi.

Chcesz czy nie chcesz zawsze uczy,
Pełna chluby, samolubstwa;
Tak mądrością ci dokuczy,
Że wolałbyś cudzéj głupstwa.

Bo kobiéta jak piosneczka,
Dowcip, czułość, mieścić może;
Ale nauk... ni troszeczka —
Filozofji... a broń Boże!

Rozum u niéj to zdrój czysty
Co wyżywia drobne rybki,
I powabny i kwiecisty
Szle ich rzekom w pędzie szybki.

Jeśli kto w ten zdrój wąziutki
Olbrzymiego soma wrzuci;
Jakież z tego będą skutki?
I som zdechnie i zdrój skłóci." —

Znów Chorąży przerwał mowę,
Skłonił czoło i wąs kręci—
Potem nagle podniósł głowę,
Coś mu przyszło do pamięci.

—„Ot, co teraz jest dziewczyna—
Jutro z tobą do niej smalę,
O pół mili ztąd Maryna —
Ale... ale... ta bez ale.

Zacny ojciec Wojski stary
Od zepsucia ją ukrywa.
Pełna zasad świętej Wiary:
Bojaźliwa, skromna, tkliwa.

Nie bogata, nie uboga!
Nieuczona, lecz rozsądna,
Nie strojnisia, lecz chędoga,
A we wszystkiem widać rządna.

Jak uprzejma! jak wesoła,
A świeżutka jak malina.
Ot dalipan, bierz anioła.
Aż pociekła i mnie ślina.

Jutro tedy do Maryny.
Ho obaczysz jak ułożę,
Wszystko żwawo — dość godziny;
A dopiero idźmy w łoże."—

Oświadczyłem Chorążemu
W prostych słowach moję wdzięczność;
Bo uczuciu zbyt żywemu,
Trudno czekać na słów zręczność.



PODRÓŻ KONNA.

V.

Coż Sędzicu? człek na koniu
Ptak swobodny — smigać może
Czy po drodze, czy po błoniu —
Wolne całe mu przestworze.

Dzisiaj młodzież zniewieściała, —
O! pamiętam dawne czasy,
Prędzej biesom by się dała
Niżli siadać do kolasy.

Coż z dzisiejszej można wróżyć —
Niedołężna jak kalectwo.
Niepotrafi czém odsłużyć
Czem ponowić swe szlachectwo.

Wszystko z czasem się rujnuje —
Bez ustanku człek coś kleci —
Herby ojców mól już psuje,
Niech ponowią *prawe dzieci.*

Nie w kolasie lecz na koniu,
Na wojłaku nie na pierzu,
Nie w komnacie lecz na błoniu,
Nie w szlafroku lecz w pancerzu.

Patrz na polu dwa topole
I dóm wielki i kaplica.
Co za wygon! co za pole!
Tu Pan Wojski — to Rzeczyca.

Fi do licha — tak jak klecha,
Jeździsz konno — sprostuj nogi,
Aż się z ciebie koń uśmiecha...
Ot dziedziniec — daj ostrogi.—

PAN WOJSKI.

VI.

Mile Wojski nas powitał,
Opowiadał dawne sprawy:
Wiele widział, wiele czytał
Na sejm jeździł do Warszawy!

Gdy z kolei Bonaparta
Przyszedł w mowie, czoło schmurzył
I powiedział — „to syn czarta,
Wziął twarz bóztwa i świat durzył.“—

Był to genjusz, wszyscy krzyczą,
Mądre dzieła wymieniają —
Niechże wszystkie błędy zliczą,
To i głupstwo mu przyznają.

Dalszych rozpraw nie słyszałem;—
Wzrok mój błądził u zwierciadła,
Bo Zoryna tak usiadła,
Że ją całą tam widziałem.

Ach widziałem czarne oczy,
Krasne usta jak porzeczki,
I jedwabne dwa warkocze,
Jak jaskółki dwie nóżeczki.

Dusza moja wciąż tam biegła,
I jak pszczoła miody piła;
Wtém Maryna się postrzegła
I oczęta w dół spuściła.

I odeszła i z nią razem
Zniknął obraz jéj z kryształu,
Lecz na wieki tym obrazem
Dała wzór mi ideału.

Coś Chorąży mówi zcicha
Do Wojskiego — Wojski pilnie
Słucha — myśli — czasem wzdycha.
To swatanie — nieomylnie —

Oba na mnie wzrok posłali,
Rozpogodził Wojski czoło.—
I znów z sobą cós szeptali
Ale więcej już wesoło.

—„Chodź Maryno !— Wojski rzecze —
Ona przyszła — „moja miła, —
Widzę z nudy gość uciecze,
Trzeba żebyś go bawiła.“ —

I posłuszna wraz dzieweczka,
Siadła przy mnie zapłoniona,
Wzrok podniosła jak sarneczka,
Bojaźliwa, choć spieszczona.

Jęła mówić, o! nie mówić,
Ale dźwięczyć — o! niedźwięczyć —
Ot nieumiem się wysłowić,
Więc słuchaczy niechę męczyć.

Bo jak oddać głos jej mowy
I naiwność uniesienia,
I ten uśmiech rubinowy,
Co jej słówka rozpromienia?



GDERANIE PANA CHORĄŻEGO.

VII.

Już w Hrowiczach stale'm siedział,
Bo poczciwy Sejmikowicz
Tak postąpił jak powiedział,
Prawo przyznał mi do Hrowicz.

Lecz mi nie to było w głowie —
Byłem smutny, cichy, nudny,
Jęło chybiać moje zdrowie —
Wiecie powod? ślad nietrudny.

Pan Chorąży marszczył czoło —
Coś tam mruczał — w ręce chuchał —
Potém szczerze i wesoło
Tak powiedział, a jam słuchał.

—„Nie tak szybko łaski Nieba
Nam przychodzą ku pomocy;
Wstydz się waćpan — przecie trzeba
Cierpliwości, duszy mocy.

Kto bez woli, psa niewarty,
W łeb mu zapal — nieraz taki
Jak czart w nocy robi żarty,
Zwiedzie z drogi w bagna, krzaki.

Dobrze mówi, myśli, czuje,
Zjedna wszystkich skarb ufności,
Potém wszystkich oszukuje
Najniewinniej — ze słabości.

Porzuć tęsknić — wąs do góry,
Twarz rozpogodź — zanuć basem,
Niechaj zadrżą w norach szczury,
Niech się skłucą gaje z lasem.

Wszakem mówił i powtarzam,
Że Pan Wojski tylko zwleka —
Pragnie — niech cię nieobrażam
W przyszłym zięciu poznać człeka."—



UJRZENIE SIĘ I WYZNANIE.

VIII.

Był jak pomnę dzień pogodny —
Słowik nócił na jabłoni;—
Od południa wiatr łagodny
Wiał przez kwiaty pełen woni.

Czy każdemu jak mnie bywa,
Że mi piękność przyrodzenia
Wszystko rzewne wydobywa,
I roztapia je na pienia?

Jest w Rzeczycy wśród ogrodu,
Lipa stara gałęzista,
Obok kurhan, gdzie u spodu,
Bujnie tryska woda czysta.

Tam usiadłem i marzyłem
Wsparłszy głowę na mym ręku,
Potém tęskno zanóciłem
Przy gitary słabym dzwięku.

. . . .

Że nadzieja zwodzi płocha,
Że Marynę kocham szczerze
Że Maryna mię niekocha,
Że mię rozpacz w grób zabierze.

Ledwiem skończył, z poza krzewu
Lekko, smętnie coś westchnęło,
Jakby echo mego śpiewu —
Lub co moją pieśń pojęło.

Wraz spojrzałem poza siebie,
Serce żywiej bić poczyna. —
Ach to ona! jak Bóg w niebie,
To Maryna, to Maryna!

Przyklęknąłem, i jej dłonie
Wziąłem na pierś... O niebiosa!
Na jej rzęsach łezka płonie,
Jak na drobnej trawce rosa!



ZDECYDOWANIE.

IX.

PAN CHORĄŻY.

Mój Jegomość poco zwlekać —
Nam niedługo tu wędrować;
A zapowne chcesz doczekać
Dzieci Masi popiastować?

PAN WOJSKI.

Tak... lecz widzisz?

PAN CHORĄŻY.

I cóż znowu?

Że on wasci mało znany?
Wierzaj tylko memu słowu,
Ten młodzieniec choć do rany.

Wprzódy miał-ci swoje wady.—
Szlachcic z rodu, młody, krewki,
Pojedynkiem kończył zwady
Za serduszko jakiejś dziewki.

Ale powiem tu nawiasem —
Takich lubię — tacy z czasem
Dzielni ludzie.— Kto za młodu
Cichy, skromny, przyzwoity,
Będzie próchnem, bryłą lodu
Dla ludzkości, dla kobiety.

PAN WOJSKI.

Dobrze mówisz, niech ją bierze
Waszmość radzisz, więc ja wierzę.—
Przytém myślę, gdzie kochanie
Tam jest Boga ślubu danie.

PIES.

X.

Już to ósme lato płynie —
Jak przysiągłem mej Marynie —
Już to trzecie, jak za swata
Pieśń wdzięczności w niebo wzlata.

To szlachetna dusza była,
Szczęściem drugich się cieszyła;
Ach! pamiętam dziatki moje,
Pieścił, kochał jako swoje.

Zasłabł starzec — jak cierpliwie
Znosił bole! jak troskliwie
Krył je w sobie — niechciał wcześnie
Nas zasmucać zbyt boleśnie.

Dobroczyńco, o! mój drogi
Nieominął cios ten srogi,
Śmierć cię wzięła. — Oby w Niebie
Bóg cię kochał jak my ciebie.

Święcie spełniam Twe życzenia,
Nic się w domu nieodmienia,
I te sprzęty i jedlina
I Twój wyżeł u komina.

Pójdź psie do mnie — chudyś jeszcze
Próżno karmię, próżno pieszczę;
Żal po panu zdrowie truje. —
I ty czujesz co ja czuję.

Pies czy pojął ludzką mowę,
Czy mi z oczu żal wyczytał,
Siadł i podniósł w Niebo głowę
I żałośnie zaskowytał.

ŁUKASZOWIE.

POWIEŚĆ Z NAD SZCZARY.

ŁUKASZOWIE.

I.

Było południe — upał dojmował —
Zwolniała praca — Kto mógł się chował
Orzeźwić siły w roskosznym cieniu —
Pola i gaje stały w milczeniu;
Tylko czasami
Wróbel swiergotnie, wstrząśnie skrzydłami;
Lub konik trawę zeschłą poruszy.

Na polu ornem pod cieniem gruszy
Tuż obok sochy przy znojnych wołach

Janek chciał szukać snu po mozołach
Ale napróżno — bo myśli smętne
Szły mu do głowy i wciąż natrętne
Pokój kłóciły — wstał więc i siedział,
Wzruszył ramiony i tak powiedział:
—„Oj zle na świecie biednej sierocie!
Nadarmo płaczę, pracuję w pocie —
Zginie on marnie! — wszędzie ubytek —
Ginie plon w polu — zdycha dobytek
Chata się wali — bo jak jednemu
Starczyć wszystkiemu?!
Och Matko moja! och Matko moja!
Przyszła na starość zła dola twoja.—
Były za ojca wszystkie dostatki;
Nie biedził głowy czém zbyć podatki:
Pamiętam w świernie jakie zapasy!
Ile różności! — ile okrasy!
Co tej odzieży stało kubłami!
Co tego miodu stało wiadrami!
A dzisiaj pustka! o Matko moja!
Zła dola twoja.
Bo, jak to mówią, starość nie radość
Potrzeba dla niej wszystkiego zadość.

I jakież u mnie miewa wygody?
Na miejscu piwa ma kubek wody. —
Już krew nie grzeje, — licha otucha
Z wytartej świtki! z łysin kożucha!
Nie służą nogi i spać niemoże,
Gdzież kąt zaciszy — gdzie miękkie łoże?
Licho nam, licho! — już człek niezgadnie
Jak się obrócić — niech więc przepadnie.
A siostra Hanka niczego z twarzy —
Z miodowem sercem — a ktoż się zdarzy?
Bo, Panie Chryste, całe jej datki
Pierścień z włosieni i z sadu kwiatki. —
Człek przy najlepszem sercu, rozumie,
Jeśli ubogi, zapomnian w tłumie.
Coż mi przyganić?! alboż łajdaczę?
Karczmy Josiela w rok nie zobaczę.
Czy kiedy zaśpię? — kiedy spróżnuję?
Zaledwie świta, w polu boruję.“ —
Tu Janek zamilkł i głowę skłonił
Na prawą rękę i łzę uronił.
Potem coś dumał długo i długo
I w tem dumaniu niebył już sługą
Gorzkiej żałości, — czasem po czole

Mignie wesołość, jako przez pole
Promień słoneczny — kiedy szmatami
Żeglują chmury gnane wiatrami.
Wtém nagle wstrząsł się i wzrok odwrócił,
Ku stronie gaju — czyjś głos zanucił,
Głos dziewic czysty, pełny i wolny,
Prosty i czerstwy jak kwiatek polny.
Kto nócił? niewiem — może kochanka
Pytajcie Janka.

PIEŚŃ W GAJU.

Poszłam do gaju, nad brzeg ruczaju,
Tam mię maliny zwabiły;
Lecz com zerwała, w wodę rzucała
Co mi do smaku nie były.

Poszłam po kwiatki, róże, bławatki,
Upłatać wieniec na czoło;
Lecz com uplotła, tom psuła, gniotła,
Nudziłam krasą wesołą.

Pieląc dziewice, bujną przenicę
Bajały, by czas ukrócić;
Cóż mi się stało? bajek niechciało,
Poszłam samotnie zanócić.

Piosnki me ładne, ale niezgadnę
Czemu w nich taka tęsknota;
Dobrze mi w chatce, przy ojcu matce,
Czemuż me serce sierota?!

II.

Patrz tam na prawo gdzie dąb sękaty,
Na zejściu z góry widny szczyt chaty —
Tam mieszka Łukasz — bohater Panie! —
Na dziesięć wołów grosza mu stanie;
Do czego dotknie, na rękę idzie —
Wszyscy go znają na targu w Lidzie.
Gdy kiermasz w Zelwie, drabiami jedzie,
Konie jak orły naprzedaż wiedzie.
Chata: ba, w chacie pięknie jak w raju —
Święte obrazy — kwiaty jak w maju,
Okna z szyb wielkich — ściany bielone
Kubły dębowe, stoły kraszone.
Za chatą sadek, aż rwie za duszę —
I gdyby kułak, jabłka i grusze,

Śliwek węgierek zbiera beczkami,
Nic ich nie przeda, wszystkie zje z nami;
Gdy za ich kupnem jaki żyd przyjdzie
Zawsze powiada: „precz idź ztąd żydzie!
„Azali gorsze chrześcijańskie dusze
„Byście nam jedli śliwy i grusze?“—
Ale to wszystko niczém jest Panie,
Stokrotnie droższe ma Bozkie danie —
Młodą córeczkę.— *Hoża Dorotka*
Dobra jak gołąb, żwawa jak kotka,
Co już ma chłopców! przepaść do licha,
A każdy płacze, a każdy wzdycha,
I niedziw temu — wielka ponęta
Z tęgim grosiwem piękne dziewczęta.
Piękna — *oj prawda!* — *takiéj tu niema* —
Jakie jej oczy? smali oczyma!

III.

Nadeszła jesień — błonia zżółkniały —
I goście-ptaki spiesznie leciały
W kraje słoneczne; — czy to wśród lasu,

Pola i łąki, — każdego czasu
Większe milczenie — ale wśród sioła
Nie taka jesień; — o! tam wesoła
Nóci i gwarzy; bo z łaski Nieba
Rolnik staranny suto ma chleba,
I dosyć wczasu. Jednak jest wszędzie
Nierówność losów:— Na jednej grzędzie
Dwa kwiecie rosną: *patrzaj z nich jedno*
Bujne i kraśne: drugiemu bledną
Kwiaty i liście i traci wonie,
Bo czerw się w jego zagnieździł łonie.
Choć była jesień, do chaty Janka
Nieweszła jeszcze żadna hulanka;
Gdzie *tam hulanka!* i tego dosyć
Że mu nie *trzeba* jałmużny prosić.

Matka do Hanki, będąc w komorze,
Tak się ozwała: „Wiesz co nieboże?
Żwawo się ustroj — dzisiaj hulanka
W chacie Łukaszów;“— i żwawo Hanka
Jęła się stroić;— wraz czarne włosy
Z różową wstążką splecione w kosy
Wyszły nadobnie z pod chusty śnieżnej.

I na pierś w spięciu świtki siermiężnéj
Spadły szkaplerze zręcznéj roboty,
Gdzie się szych mięszał srebrny i złoty.

Janek był jeden — z okna pozierał
I tam i ówdzie: jak gdyby zbierał
Jakieś przedmioty, coby mu dały
Weselsze myśli. — Gdy się ubrały
Matka i Hanka przyszły w milczeniu,
I matka bijąc go po ramieniu
Rzekła: — „Sokołku rozjaśnij lica,
Dzisiaj Łukaszów ślubu rocznica;
Czas pofolgować twéj ciężkiéj pracy,
Tak zawsze robił mój mąż Ignacy.
Wieczny mu pokój! — Chodź do Łukasza:
Ciebie i Hankę i mnie zaprasza.
Chodź razem z nami. — Tam wiesiełowski
Jak machnie smykiem, to zpędzi troski.
Tam będą dziewki, istne aniołki,
Z niemi potańczysz zwinne mieciołki.

JANEK.

Idźcie wy matko i ty siostruniu;
Milszy mi widok będzie nad runią;

Wreszcie jest siła nagłéj roboty,
Połatać strzechę na blizkie słoty,
I piec naładzić, już dymi, stary,
Oblepić ściany, bo wszędy szpary.
Gdy sywir *) dmuchnie, na wskróś przechodzi,
A to wam matko wcale niegodzi.
Coż im tam po mnie? tańczyć i śpiewać
Prawie zabyłem: chyba poziewać?
Niechaj wesoły idzie na gody,
Niechaj pochmurny nie ćmi pogody.

HAŃKA.

Tyś bracie chory?

IGNACOWA.

Mój biedny Janku,
Może wypijesz bzu lub tymianku?

JANEK.

Dziękować Bogu — jeszcze jest zdrowie.

HAŃKA.

I nie bałamuć — już na twéj głowie
Połowa włosów — nieraz twe oczy
To nazbyt świecą, to coś je mroczy;

---

*) Wiart północny w języku naszego gminu.

Czasami we mnie wzdragniesz jak spiekły—
Twarz twoja w śladach kędy łzy ciekły.

IGNACOWA.

O Panie Chryste!

JANEK.

Hanka przestrasza,
Nic mi — ot pójdź wraz do Łukasza.
Nie płaczcie matko; oj Hanko, Hanko!
Kiedyś odpłacę tobie *poganko.*

IV.

Matka i Hanka wcale niezgadły,
Przez co *ich* Janek taki wybladły;
Taki posępny; przezco źrenica
To czarna chmura, to błyskawica,
Przezco on niechciał ruszyć na gody,
Na które biegnie tak chętnie młody;
Prawda że biada trudy unudza,
Nadpsują zdrowie — lecz nie obudzą
Tak mocnych smutków — on sam przed sobą
Pragnie się ukryć z wielką żałobą.

Myślą od głównej przyczyny ucieka,
Co mniej mu boli, na to narzeka.
On tail w sercu wielkie kochanie,
O! takie wielkie, że nie był w stanie
Przytłumić pracą; szły sił ostatki,
Wspierał je wiarą, że żyć dla matki,
Dla siostry trzeba; nic nie pomogło,
Gniecione czucie więcej się wzmogło,
Zerwane tamy.— Cudna Doroto!
Innych choć w części wabi, lecz złoto
Jego odpycha; On je przeklina —
Złoto przy tobie zjadła gadzina,
Co mu ostatnie nadzieje truje.
Gdybyś wiedziała ile on czuje!
Ile Cię kocha!

V.

Już u Łukaszow gości gromada
Potężne ławy z dębu zasiada,
Lecz jeszcze na stół nie przyszly misy,
Na to się zmarszczył Mikszała łysy.

Pabaj, choć taka chuda wywłoka,
Niema większego nadeń żarłoka,
Zje za trzech ludzi.
Łukasz przewlekał
Z wydaniem uczty, cierpliwie czekał
Przyjścia somsiadki szanownej wdowy;
Wtém ktoś zawołał, że od dąbrowy
Idzie czekana; — łysy podskoczył
Wyszczérzył zęby, za stół się wtłoczył.
Sam zaś gospodarz i jego żona
Wyszli przed chatę: godna matrona
Szła z swą rodziną, gdy się zbliżyła
Zdyszanym głosem ich pozdrowiła.
Łukasz i żona w kolej po sobie
Ucałowali jej ręce obie.

ŁUKASZ (*do wdowy*).

Jakże się macie, mili somsiedzi?

ŁUKASZOWA (*do wdowy*).

Może na przyzbie Matka posiedzi?

IGNACOWA.

Dzięki waszmościom — u was zwyczajność
Ludzka gościnność i obyczajność.

ŁUKASZ (*odwraca się do Janka*).

Co ci to Janku, jakeś zmieniony?
Patrzysz z kapoty jak ksiądz z ambony.
Ej tam do djabła, zwolnij w robocie,
My ci pomożem.

ŁUKASZOWA.

Trzeba sierocie.

JANEK.

Dzięki waszmościom, Bóg mi pozwoli,
Że o swéj sile wstanę powoli.
Tu się ozwały dźwięki cymbałów,
Przyjemne hasło do skocznych szałów.
Łukasz zaprosił wszystkich do chaty,
I wszyscy poszli.
Dziś jak przed laty
W prostym człowieku, gdy tylko prawy,
Znajdziesz uprzejmość, acz bez przyprawy
Pochlebnych słówek; za to bez nudy
Wyjęta z serca a nie z obłudy.

Jakimś przypadkiem Doroty oczy
Spotkały Janka, i wzrok uroczy
Wzruszył nim całym, i krew raptownie

Wzbiegła do głowy i znów gwałtownie
Zeszła do serca; niby krok zmienił
Tak się był pochwiał; to się rumienił,
To strasznie bledniał.— A ona, dziecie
Niezrozumiała — poszła po kwiecie,
Ustroić włosy; zlekka westchnęła—
Zrobiła kaprys, ręką skinęła.
Bo tak myślała układając wianek:
Coś mi nieboże ten rzeski Janek
W oczach niszczeje; ba nie żałuję —
Zawsze się cudza — już nie pojmuję
Co sobie roi? — gdy za mną młodzi
Cieniem biegają, to mu niegodzi
Ze mną rozmowa — i ja wzajemnie
Słówka nie bęknę; — uparta ze mnie.
Ho, ho, obaczy!
Łukasz z uboczy
Patrzał na Janka, i Hanki oczy
Były w tej stronie: biedaczka zgadła
Co w sercu brata — i chustka spadła
Z jej bujnych kolan, bo jej rączęta
Drżące się zbiegły jak gołębięta
Na widok sępa.

Tymczasem w izbie
Grali, tańczyli — Dorotka w ciżbie
Szukała pustot. — Tam Stasiuk młody
Sławny bywalec, prawił przygody.
Dalej Mateusz w szarej węgierce,
Dwoyak — by sobie zyskać jej serce
Tkliwie przyśpiewał, lub robił psoty
Dla jej uciechy. — I któż Doroty
Niechce uśmiechu? On tak nadobny
Gdy mknie na ustach, to coś podobny
Do świtu słońca na pączku róży.

Co chcecie mówcie, nikt mię nie zdurzy—
Sama przez siebie, nie da nam sztuka
Wzoru piękności — ale go szuka
W Bozkiej pracowni, a gdy znajduje
Natychmiast chwyta — i naśladuje
W swoich utworach — w dziełach poety,
Malarstwa, rzeźby — i u kobiety,
W jej kokieterji.
Owoż Dorota
Była tym wzorem dla pióra i dłota,
I wdzięcznych zalot — oczy spuszczała,

Bo była skromną — wszystkim się śmiała,
Bo była trzpiotką — wszystkim uczynną,
Bo była dobrą, tkliwą, niewinną.

Z Łukaszem było ni to ni owo:
To marszczył czoło, to potrząsł głową,
To się rozśmieszył, to żart powiedział,
To gniewnie burknął jakby coś wiedział,
I zło i dobro, — często szpiegował
Każdy ruch córki — często się chował
W pośród gromady, i tam nieznacznie
Na lice Janka pozierał bacznie.
—„Doroto! chodź tu — głosno zawoła,
I ona przyszła —„tyś zbyt wesoła.
I to mi nie w smak — w twoim już wieku
Trza się frasować, żeby na człeku
Dobrze się poznać — poźniej poczasie
Robić wybory, gdy pojmiesz męża
Choćby gorszego nawet od węża.
Spójrzyj na Janka — czy to przystoi
Zaniedbać gościa? — może ukoi
Twoja uprzejmosć jego stroskanie, —
Pójdzij i poproś — niech z Tobą stanie

W taneczne koło.— Poczciwe dziecie
Szanuje matkę — biedne na świecie.
Kiedy na ławy zaległo szmocie,
To złote jabłko wala się w błocie.“—
To mówiąc Łukasz oczy zasłonił,
Cicho zachlipał i łzę uronił.
Janek zmięszany, już sam nie wiedział
Co z sobą począć, milczał i siedział.
Ona podeszła — czemuż nieśmiała
I zapłoniona?— wtém przypomniała
Jego oziębłość i krok cofnęła;
Lecz znów podeszła i przed nim stanęła.
Podała rękę, i ich spojrzenia
Zbiegły się razem; i wraz półcienia
Zeszło z lic Janka do lic Doroty;
Była to może litość sieroty?
Jego niezdrowia? — „Co wam jest Janie?—
Rzekła Dorota — „wszak pomnę, w tanie
Byliście czołem? przezco siedzicie
Na osobności? czy nie lubicie
Żadnéj uciechy? Już wy nieradzi
Naszéj gospodzie? bo nic niewadzi
Częściej nas zwiedzać; przez całe lato

Was tu nie widać — i coż Wy na to?"—
Janek wciąż milczał. —„Nie odpowiadacie?
Na jasno widzę że się gniewacie.
Ongiś bywało najczęściej ze mną,
A dziś wam drogę zabiedz daremno,
Wmig ją zmylicie; czem rozsierdziłam?
To ja przeproszę — ja was lubiłam."—
I tutaj na głos poczęła szlochać.
—„Och! ktoż cię *z ludzi mógłby nie kochać?*—
Zawołał Janek, biorąc jej dłonie.
„Gdy słonko świeci, to wszystko płonie.
O moja żono! krasna kalino!
Bądź mi wzajemną, to wraz przeminą
Moje niezdrowia. Małom dla Ciebie
Nie zabył *Matki*, Ojca na *niebie*.
Kryłem kochanie, boś ty bogata,
A mojej nędzy niewziąć za swata.
Nieraz myślałem: gdy oszaleję
Wyznam Dorotce — ona wyśmieje.
A ludzie rzekną: na jego nogi
Wysokie progi;
Zwąchał grosiwo, ale nie liźnie,
W pustej chałupie niech sobie gwiźnie."—

Ona słuchała, a jego lica
Rumieniec krasi; słodka tęsknica
Wspólnie z miłością patrzą mu z oka.
A pierś wydatna, męzka, szeroka,
Wdzięczny głos leje; smagłej urody,
Nadobnych rysów, składny i młody,
Wzniecił tlejący płomień w iskierce,
Nauczył mówić niemowle serce.
O tak dziewieczko, oczarował ciebie,
O tak dzieweczko! już nie dla siebie
Żyć odtąd będziesz. Odtąd w spólności
Ziścisz prześwięty cel opatrzności,
Cel twego bytu.—
Gdy się to dzieje,
Łukasz przechlipał i już się śmieje.
Poszedł do żony, z nią się coś radził —
Skinęła głową a on pogładził
Pulchną jéj brodkę. Przybiegła Hanka
I razem poszli do matki Janka,
I coś jéj rzekli, i wszyscy razem
Żwawo ruszyli; lecz z tym wyrazem,
Co wroży szczęście, i wszyscy społem
Zajęli kołem

Janka z Dorotą. Oni zajęci
Swojém kochaniem, zbyli z pamięci
Że żyją ludzie. Łukasz zawoła:
Serce dziewczyny topnie jak smoła
Na wzrok miłości.—Da, Janku synie,
Weźmij Dorotkę. Niech wiecznie płynie
Wam źródło pociech — bierz z nią dostatki,
Kto nie pokrzywdził szacunku matki
Nie poszedł k'czortu *w czarnéj niedoli*,
Nie krzyczał gwałtu że serce boli,
Niech Bóg z nim będzie; ten dla małżonki
Pewniejszy szczęścia, niżli skarbonki
Napchane złotem.— Oni uklękli
Nadzwyczaj radzi; trocha przelękli,
I po kolei rodziców nogi
Ucałowali.— Ten zwyczaj drogi
Korności dzieci na wielkim świecie,
Z szczątkami innych rzucony w śmiecie.
Jakaż niebaczność! zdziawszy pozory
Ze świętéj cnoty — jak drzewo z kory
Odarte zeschnie. Zacne prostactwo
Trwaj wieki wieków; niech ni robactwo
Nowych mędrkowań nie lęgnie w tobie

Jak w ciele trupa; to pomnij sobie,
Że tu jedyne szczęście jest wiara,
Że równość mienia jest to czcza mara,
Że roskosz bogactw sumienie paczy,
Że żyć w ubóstwie, żyć w Bogu znaczy.

* * *

Wtym czasie powstał ruch w pośród ciżby:
Stach z Mateuszem uciekli z izby.
Ci co zostali, *wmig* wysuszyli
Pięć dzbanów miodu, a gdy podpili
Kpali uciekłych, i na ich głowy
Spletli ogromny wieniec grochowy.
Śmiech się rozlegał, aż poza drzwiami.

Janek szczęśliwy — jednak czasami
Myśl się o smutne wspomnienie trąci —
I czysta, jasna zlekka się zmąci;
Jako po burzy, choć piękna pora,
Jest jeszcze fala na tle jeziora.

POTOK I JANEK.

Tam na wiosnę potok płynie,
Bystro jakby rzeka;
Jan się kocha w złej dziewczynie,
Ślubu nie odwleka.
  Co napotka potok w drodze
  Wszystko burzy, znosi;
  Próżno Janka łają srodze,
  By nie pojął Dosi.
Głupi Maciek pobudował
Młynek na potoku;
Głupszy Janek, że na oku
Przyszły los gruntował.
  Przyszło lato i upały,
  I potok nie płynie;
  Przyjdzie Dosi wiek dojrzały
  Słodycz oka zginie.
Oj się zdradzi on szkaradnie
Z swą różą rumianą;
Kiedy z róży kwiat opadnie
Kolce pozostaną.

ZAMKI NA POWIETRZU.

I.

Nasza myśl mieszka w krainie Platona
Gardzimy złotem — to głupich mamona.
Tak zgraja mędrców ogolałych woła.
Nie wierz ich ich słowom — zawiść oczewista!
Bo niech im błyśnie fortuna złocista
Wnet blask jéj przejdzie w ich zmarszczki u czoła,
Jak w szczerby ruin gałęzie powoju.
Patrz, jeden z takich zachmurzony siedzi
W tak ciasnym, zimnym, tak pustym pokoju,

Jak w sercu Pana, jak w głowie gawiedzi.
Gniotł jedną ręką piersi uporczywie,
Żeby mu serce nie tak biło wielce,
Drugą wciąż szarpał i dusił złośliwie
Nic mu nie winną, kieszeń w kamizelce.
Ale naprózno — wśród takiej katuszy
Cichego nawet jęku nie wydała,
Bo nieboraka była już bez duszy,
Którą swojemu tyranowi dała,
Na modne stroje i karty i wina.

Precz, precz pieniądzie! wyście mnie zdradziły,
Choć was posiadam, jednak świat niemiły.
Ci co tak mówią, snać że w serca głębi
Nie mają zmysłu, by nim szczęście czuli;
Lub stratą cnoty skarby swe zatruli,
Lub przesycenie wszelką roskosz ziębi.
Cóż wam pomoże, gdy nie macie oka,
Choćby na nosie świeciło wam słońce?
Wiecznie was będzie osłaniać pomroka,
Nie dla was rośnie kwiat na życia łące!

II.

Patrzcie jak złota wszechmocna potęga,
Ileż nam dziwnych cudów utworzyła!
Człowiek po złoto do niebiosów sięga,
Przepływa morza niewidzialną siłą.

Stepy piasczyste zieleni plonami,
W krajach ciemnoty światło rozpościera,
W tajnie przyrody wdziera się myslami,
I głaz i płótno w tło życia ubiera.

Lecz jeszcze wyższe są złota przymioty —
Można go użyć na niebieskie wianki,
Kalekiej nędzy, pogardzonej cnoty,
Biednych przyjacioł i tkliwej kochanki.

Kto takim wieńcem swe czoło okryje,
Z uśmiechem drogę przebieży żywota;
A gdy godzina śmierci mu wybije,
Anioł-Stróż rajskie otworzy mu wrota.

III.

Jak strumień wody wśród pustyń obszaru,
Jak drzewo z cieniem wśród południa skwaru,
Tak w życiu mojem cieszył mię Ksawery
Przeszły i przyszły mój przyjaciel szczery.
Przyszły, powtarzam, bo się znamy z sobą
Jak grób z żałobą,
Jak gracz z kartami,
Jak nędza z smutkiem, jak smutek ze łzami.
O! gdy mi błyśnie złota blask żądany,
Ja tego blasku nie zachowam w sobie
Jak brylant w grobie,
Ale wnet Jemu część z siebie odtrącę,
Jak księżycowi słońce.
I on naówczas tak jasno zaświeci,
Że go zobaczą przyszłych czasów dzieci!
Dzisiaj Jego rozum, serce,
W zaniedbaniu, w poniewierce.
W pospolitych ludzi gminie,
Jak fijałek koło płotu
Wśród pokrzywy i błokotu
Niewidzialny, marnie ginie.

IV.

Znacie Matyldę? to dziewcze, o Boże!
Tak tkliwe, święte, tak piękne, tak hoże!
Jak... o! niema w językach wyrazu,
A w całym wielkim skarbcu przyrodzenia,
Niema ni barwy ni światła ni brzmienia,
By do Jej mogły posłużyć obrazu.
Próżno artysty pędzel i dłonie
Pragnąłby oddać Jej lica odcienia,
Dajcie mi lutnię Anioła zbawienia,
Ja na tej lutni Jej głosem zadzwonię;
Dajcie mi ognia, co sympatją spoił
Twory chaosu, i życiem napoił,
Ja nim objawię jakie światło płonie
W Jej modrem oku i niewinnem łonie.
Jednak to dziewczę, tę krasę stworzenia
Z władzybym złota na zawsze posiadał;
I z ust różowych wypijałbym tchnienia,
I ją bym pieścił i z nią zawsze gadał,
I stopy całował.
Śmiał się i płakał — jabym tak warjował,

Jak uwięziony, gdy wolność odzyskał
Z głębi pieczarów, gdzie się dzień nie wciskał,
Gdzie zbladł i wysechł, jako kwiat bez wody,
Jak *myśli nasze na młodości grobie.*
Tak, gdyby złoto — moja niezawodnie..
Wtenczasbym umiał podbić serce sobie;
Lecz jak szlachetnie! jak godnie!
A jak? czy wiecie?
Oto malutkie *napół nagie dziecie*
Przywiodło z sobą ślepego nędzarza
I takie słowa płacząc z nim powtarza:
„Panie miej litość, ratuj nas dla Boga!
Bo głód i zimno do grobu zawlecze.“
Wnet biorę pieniądz, broń tę na ich wroga
I *nędza od nich natychmiast uciecze.*
Natenczas starzec wracając do domu
Zachodzi do Niej, i ze łzą wdzięczności
Mówi o mojej dla biednych litosci.
I u niej błyśnie łezka pokryjomu.
Zaraz zdejmuję te stare odzieże,
A kładnę modne i zgrabne i świeże
I biegnę do niej ile sił mi staje.
Wchodzę, o dziwy! Ona niepoznaje.

Takem poładniał z twarzy i postaci,
Że oszukałbym i rodzonych braci.
Gdym począł mówić, tak zręcznie i śmiało,
Ona się śmiała uśmiechem anioła;
Bo byle tylko szczęście zajaśniało
To się na dowcip jakoś łacniéj zdoła.
Gdym potém spójrzał, ona się rumieni,
I lekko zadrży i w dół spuści oko,
A kiedym żegnał, ach! westchnie głęboko
I rzewny smutek jéj lica ocieni.
Nie tak jak teraz.— Szczęśliwi! nie znacie
Jaki ból w sercu, widzieć jasne czoło
I słyszeć uśmiech i piosnkę wesołą,
Żegnając dziewcze, po któréj utracie
Tak wszędzie pusto, głucho i niemiło,
Jakby na świecie nikogo nie było.

V.

Taka to u nas jest potęga złota!
Czyliż go dają rozum, praca, cnota?
Rozum? powiecie — to są banialuki

Rozum czas łoży na jakieś nauki;
Gdy wyda dzieła — ten co go nagrodzi
Jeździ karetą, on po błocie chodzi.
Praca? powiecie — nie, jak Bóg na niebie!
Drugich bogaci, ale nigdy siebie.
Patrzcie w podziemia — zgroza mię przejmuje:
Ludzie jak trupy, bo ich wyziew truje.
Szukają złota z wytężoną pracą?
I cóż im za nią? *kęsem chleba płacą.*
Cnota powiecie? . . . .
. . . .

CHCESZ BYĆ SZCZĘŚLIWYM?

Chcesz być szczęśliwym w całym życia wątku?
Szukaj kobiety, która łączy w sobie
Mierność talentów, wdzięków i majątku,
I niechaj nawet miernie sprzyja tobie.
Strzeż się najbardziej, co się sławą chlubi;
Swiatu, nie tobie poświęci swe życie;
Szczęście małżeńskie zamieszkiwać lubi
Ciche, samotne, domowe ukrycie.

WIDZENIA.

SZKIC.

WIDZENIE I.

Na wzgórku widać dom nizki drewniany,
Podobny nieraz na Litwie widziany;
Tuż poza domem ogród kwieciem świeci;
Zwykle tu miejsce dla igraszek dzieci,
I dla niewinych zatrudnień dziewicy.
Lecz jéj tu niéma — tylko śród ulicy
Równie przyjemnie wabią oczy moje
Ładne dziateczki — bawi się ich dwoje.
Jedno z nich siedząc na brzegu trawnika,
Czerpało piasek jak wodę z strumyka;
I jakby z kubka z dłoni na dłoń zlewa,
Coś mówi z sobą, coś tęsknego śpiewa;
Potém umilkło. — Kto go zauważa
Pozna czém będzie.— Patrz, już się wyraża
W oczach dumanie, spokojność marząca,
To jeszcze przed-świt wieszczych natchnień
słońca.

Drugie z nich stojąc pomiędzy krzewami
Z bacznością kota posuwa rączkami,
Wstrzymało oddech i już lada chwila
Skoczy i ujmie złotego motyla.
Wtém motyl umknął — złoszcząc się ze straty
Szarpało suknie i łamało kwiaty.
Jam mówił w duchu: „Nierozsądne dziecie!
Nie mędrszem będziesz, gdy kiedyś na świecie
Pokój, wesołość, pierwsze Niebios dary,
Oddasz za pozór, za wielkości mary!

WIDZENIE II.

Słońce zachodzi i już krople rosy
Złocą trawniki i kwiaty i rosy.
Tam w dali mrocznej, żniwiarek gromada
Złożyła sierpy i do wczasu siada.
Tu u stop moich, tło gładkie jeziora
Poważną świetność maluje wieczora,
Ognisty zachód — gwiazd tyle — a w głębi
Jak w duszy mędrca chłod i pomrok ziębi.
Patrz, razem siedzą młodzian i dziewica:
Ona powabna jak ta okolica —

On jedną ręką trzyma arfę zblizka,
Drugą jéj dłonie do piersi przyciska.
Snać młodzian dla niéj coś tkliwego nócił,
Bo łzy w jéj oczach, a on arfę rzucił.
Teraz oboje patrzą oko w oko,
Długo i długo, i milczą głęboko.
Zda się oczyma ich dusze ogniste
Snują i łączą włókna promieniste,
Jak te wysoko dwie gwiazdki na niebie.
Dziewica pierwsza przerwała milczenie:
—„Więc ty myśliłeś, że nie kocham ciebie?
Teraz pojmuję zkąd ta bladość lica,
Upadek zdrowia, ta ciągła tęsknica.
Masz moją rękę — niech losy nam błogie
Wiernie sprzyjają; niech już miną srogie
Burze serc naszych; — idźmy do méj chatki,
Błogosławieństwa błagać naszéj matki!“—
Naszéj, tak rzekła, w tym jednym wyrazie
Więcéj błogości niż w całym obrazie
Raju Poetów; — w nim wspólna opieka,
Jedność dwóch istot, dopełnienie człeka.

WIDZENIE III.

. . . .

WIDZENIE IV.

Znów widać wzgórek i domek drewniany.
A... przypominam, ten mi domek znany —
I ten ogródek — lecz już nie te kwiaty
I nie te dzieci co rosły przed laty.
Pod gruszą siedział staruszek sędziwy,
Przy nim niewiasta — ona wzór prawdziwy
Poczciwej babki; — *on miał arfę w ręku*
I nócił zwolna przy jéj cichym dźwięku.
Zbiegły się dzieci do ojca i matki,
Chcą słuchać pieśni. — O! wy lube kwiatki!
Kto wâs wychowa i w wierze i w cnocie,
Ten choć pracuje w krwawym czoła pocie,
Używa *szczęścia*, *przyszłość go nietroska*;
Ma prawo wierzyć że i mu ojcowska
Pana nad Pany, winna być opieka.—
Ojciec im śpiewał obowiązki człeka,
Żè wybrał sobie pracę ziemianina,
Że nią się cieszy, że ona jedyna
Z swojéj natury duszy nam nie skazi.
Śpiewał, że zawiść nigdy go nie razi,
Ża Muza słodka po pracy zabawa,

Że go nie łudzi bohaterów sława,
Że przecie gotów w szlachetnej potrzebie
Poświęcić żonę, i dziatki i siebie.
Tu pieśń przerwana — bo żona z dziatkami
Na wzmiankę śmierci obfitemi łzami
Poczęły szlochać!...

WIDZENIE V.

W izbie na łożu jakiś starzec wzdycha,
Ponury, żółty jak kwiat gdy usycha.
Wziosł w górę ręce i z ściany wiszące
Laurowe wieńce zerwał i odrzucił;
A kiedy od nich twarz z wzgardą odwrócił,
W przeciwnej stronie oczy już mdlejące,
Spotkały skrzynie napełnione złotem;
Co w dalszém życiu było mu przedmiotem
Chciał mówić — nie mógł, głowę na pierś skinął,
Westchnął głęboko — pot mu z czoła spłynął,
I skończył życie — a tam! tam, wokoło
Na drzewach ptastwo szczebioce wesoło,
Słońce pogodne złote światło leje,
Motyl na róży roskosznie się chwieje.

POCHODNIA RYBAKÓW.

Już rok upływa, niema go i niema!
Zbladłam i wyschłam, wypłakałam oczy.
Pytam — niewiedzą. Ach! cóż go tam trzyma?
Może podstępnej jakiś wzrok uroczy?
  Może... o Jezu! jakaż boleść w duszy!
Snem wiekuistym usnął na *dnie* morza;
Mówcie mi prawdę — niechaj się kto wzruszy,
I jabym poszła ledz do jego łoża.
  Tu dnie i nocy samotna łzy leję;
Zowią mię wszyscy *pochodnią rybaków.*
O! już nie długo, nie długo potleję,
Wkrótce się stanę pastwą dla robaków.
  Lecz co widzę? rybitwy czy żagle....
To łódź! łódź jego! ledwie oczom wierzę.
Wołam, nie słyszy — krew mi bije nagle;
Może mój biały fartuszek postrzeże.
  To mówiąc, młoda małżonka rybaka
Wdziera się śmiele na wierzchołek skały,
Gdzie tylko wzlecą lotne skrzydła ptaka,
Gdzie ledwie doszlą pogrom morskie wały.

Staje, i radość iskrzy się w jéj oku,
Zdjęła fartuszek i nad głowę wzniosła,
Wtém się odrywa plita z skały boku
Spada, i z sobą na dno ją uniosła.

Rybak powrócił i znowu odpłynął,
Raz dóm odwiedził i gorzko zaszlochał.
Pierścień z włosieni do szkaplerza zwinął,
I dóm opuścił bez téj którą kochał.

—„Kiedy powrócisz nasz Bazylu młody?“
Pytało grono dziewcząt i chłopaków —
—„Jakże mam trafić do naszéj zagrody,
Kiedy tu zgasła *pochodnia rybaków.*

CZYŚMY KIEDYŚ ŻYLI.

Gdzie żyli moi kochani rodzice,
Jest piękne wzgórze i lipy cieniste;
Ztamtąd obaczysz modre Narwy lice,
I w gruzach kościoł i łąki kwieciste.

Kiedy się zachód malował szkarłatem,
I wonny wietrzyk zaigrał jak dziecie,

Zwykłem tam chodzić razem z moim bratem,
Marzyć i słuchać, gdy on grał na flecie.
Skoro flet zwolna obudził milczenie,
Zaraz się oko łzami zapływało,
Jakby się jakieś ocknęło wspomnienie,
I żywiej w piersi moje serce drgało.
Zda się że wtenczas kogoś oczekuję,
Z spłonioną twarzą pozieram dokoła,
I bacznie słucham i oddech wstrzymuję;
Czy głos mię jakiś po imieniu woła?
O gdyby głos ten, com go duszą znała,
Raz tylko wezwał, tobym wraz uciekła
Od wszystkich moich i za nim pognała,
Dokąd?—ja niewiem, do niebios, czy piekła.
Coż znaczy, mój miły, mój drogi?
Nim cię ujrzałam, czyż się znałam z Tobą?
I choć nas dzieli na ziemi los srogi,
Czyż się znów kiedyś połączemy z sobą?

SONET.

Niedawnom moje ustronie odwiedzał
Przerznięte zdrojem, zasiane kwiatami,

Tak pełne życia, tak brzmiące śpiewami,
A dziś tych wdzięków próżnobym wysledzał.

Jakże się wszystko w jesieni zmieniło,
Zdrój, pełen błota, a kwiaty opadły,
Choć słońce wiosną też same świeciło,
Dziś promień jego mglisty i wybladły.

Coś podobnego jest z moją kochaną,
Była jak anioł, jak dziecię niewinne.
Tak była tkliwą — o! sroga zamiano!
Serce też same, lecz uczucia inne.
Te same oczy, lecz insze spojrzenie,
Dziś jak djablica, zła w wieczór i rano.

MULTANKA.

JAŚ.

Patrzaj mój Stasiu, kędy leszczyna
Chłodzące cienie rozściela,
Chłopców i dziewcząt dziarska drużyna,
Do skocznych tańców stanęła.

Już zdala słyszę wesołe śmiechy,
I wdzięczne tony multanki;
Spieszmy mój Stasiu, dzielić pociechy,
Spieszmy do dziewcząt po wianki.

STAŚ.

Obacz-no pierwiej gdzie dąb zielony
Wznosi konary wysoko;
Siedzie samotnie starzec schylony
I zda się wzdycha *głęboko.*

Zroszona łzami połyska broda
Jak puch gołębia śnieżnego;
Czy go spotkała jaka przygoda?
Idźmy zapytać biednego.

STAŚ DO STARCA.

Bóg z tobą dziadku. Poco samotny
Pod tym tu dębem spoczywasz?
Powiedz mi szczerze, dla czegoś smutny
Bo widzę łzami twarz zlewasz?

STARZEC.

Niedziw że starzec, dobry młodzieńcze,
Samotny wzdycha żałobnie,
Gdy mną zostaniesz, to i ty, ręczę,
Westchniesz, zapłaczesz podobnie.

Gdym tu usłyszał multanki brzmienie,
Cudnej ułudy doznałem:
Postrzegłem moich współczesnych cienie,
Których za życia kochałem.

Włos mój poczerniał, rozkwitły lica,
Rzeskości, zdrowia przybyło;
I zapłonęła ogniem źrenica,
I żywiej serce me biło.

Lecz gdy te pierzchły lube marzenia
Ach! jakaż była tęsknota;
Bom nagle ujrzał wielkie odcienia
Między chwilami żywota.

Ale idź sobie, bo oto słyszę
Wesołe głosy multanki,
Może czekają cię towarzysze,
Lub drżące serce kochanki.

Mnie iść potrzeba, kochane dzieci,
Gdzie grobów nocą sosniny;
Tam mam znajomych więcej niż w świecie,
Tam grono mojej rodziny.

Rodzice, żona i dziatki drogie,
Dawno już w ziemię złożeni,
Nie dla nich świeci to słońce błogie,
Nie dla nich kwiat się rumieni.

To kończąc starzec łzy rzewne ronił,
Smutnie westchnęli młodzieńcy,
A potem dłonią oczy zasłonił,
I nic nie mówił im więcej.

JAŚ DO STASIA.

Rada mu nasza nic nie pomoże,
Ma powód gorzko narzekać;
Idźmy więc dalej, nie daj nam Boże
Takiej starości doczekać!

DUMANIA NAD WIARA
I JEJ BŁOGIEMI SKUTKAMI.

Dusza jak orzeł gdy go więzi krata,
W granicach pojęć miota się i wzlata.
Daremne proby, już skrzydła strudzone,
I z piór obite i we krwi splamione.
O biedna dusza! Twoją karmią całą
To ziemskie szczęście nikczemne jak ciało,

Ledwie użyte, ledwie błyśnie w oczy,
Starzeje, gnije i robactwo toczy.

* * *

Ciągły, uparty smutek mię ugniata,
Myśli spłowiały jak zużyta szata,
Pryzmat nadziei rozbity na szczątki,
Zamiast pocieszać, drażnią mię pamiątki;
I czas obecny jako step bez zmiany,
Gdzie tylko sterczą samotne kurhany.

* * *

Któryż da z ludzi czego dusza łaknie?
Kto z nich da Wiarę, gdy téj Wiary braknie?
Bo cóż bez Wiary człowieka tu życie?
Jego pomysły, jego serca bicie?
Droga ciernista z nicością u zgonu,
Kwiat w ręku trupa,— usiewy bez plonu!

* * *

Czém słońce w świata fizycznéj budowie,
Tém Wiara w świecie duchownym odpowie,—
Wszystko przy Wierze jak przy słońcu krąży;
W czystéj harmonji, z pewnym celem dąży,
Wszystko k'Niéj waży i przy Jéj płomieniach
Ciepli się, kwitnie, kąpie się w promieniach.

* * *

Jakże zazdroszczę wam którzy wierzycie,
Dla mnie tam ciemność, kędy wy widzicie,
Wyście znaleźli a ja szukam znojnie.
Ja czuwam w nocy, wy śpicie spokojnie;
Wy macie drogę, ja błądzę wśród puszczy,
Wśród dzikich zjawisk i urojeń tłuszczy!

* * *

Może was zwodzą marne ułudzenia?
Lecz coż z prawd *takich, gdzie gady cierpienia!*
Wszak te obłoki *to* wyziewy ziemne,
Wszakże to słonce, jak ta ziemia ciemne,
Coż nam w to wchodzić? z obłoków i słońca
Deszcze i ciepło i siła żywiąca.
Ha! już rozumiem, tam prawda gdzie skutki,
Precz niedowiarstwo i *bluźniercze smutki.*
Precz niedowiarstwo, tyś siłą odjemną.
Wiaro twórczyni zawitaj, bądź ze mną!
Wiaro! nam świecisz choć samaś ty ciemną.

NA ŁODZI.

Zatrzymaj wiosła — niechaj z biegiem wody
Łódź się pomyka, jeśli sen nas znuży

Tu noc spędzimy, już minęły chłody,
Dziś motyl sypia w wód kielichu róży.

* * *

Jakaż to pora! jak cudne widoki!
Jaka woń błoga!
W jak dziwne kształty łączą się obłoki!
A tam nad nimi bez krańców przestworze,
W iskierkach światów! wszystko dzieło Boga!
O bracie! czołem uderzmy w pokorze!...

* * *

Powiedz czy takie uczucia wywoła,
Czy takie myśli bogobojne wzbudzi
Jakaś Świątynia, wiekowa mozoła
Zarozumiałych, niedołężnych ludzi?
Nie — tu się modlmy — co dojrzy twe oko
W całym bezmiarze masz Bożą świątynię
Na wodach, lądach, na gwiazdach — wysoko;
I jeszcze wyżej gdzie aż wzrok już ginie.

* * *

Już zmrok ogarnia — już słońce znużone
Obiegłszy całe niebieskie przestworze,
Mdłe i czerwone,
Zeszło na miękkie z chmur szkarłatnych łoże.
Słuchaj jak wszystko ścichło w przyrodzeniu,

Jakby nic słońca obudzić nie śmiało.
Tylko mu słowik jak trubadur w pieniu
Bohaterowi okrytemu chwałą,
Przywabia senne tak powiewne mary,
Jak te mgły lekkie nad błonią kwiecistą.
Tylko niekiedy w ługu bekas szary,
Wzruszy swym krzykiem olszynę cienistą,
Niekiedy puszczyk na jodle wysokiej
Potoczy jęki po rozległym borze
I znowu cicho....

Sza! sza! nie kłóćcie tej ciszy głębokiej,
Niech biedne słońce swoje siły wzmoże,
Niechaj spoczywa, zbędzie troski dzienne.
Musiało patrzeć szeroko na ziemię;
Na łzy niewinne, na mordy wojenne,
Kędy goduje mięsożerne plemie
Hjeny i kruki.—
—„A co mój bracie, odprawiasz boruchy
W czasie nauki?
—„Ha! co—co mówisz?. wietrzyka podmuchy,
Łodzi wahania,
Dzwięk twojej mowy, skłoniły do spania.

UKŁAD ŚWIATA.

Ty wiesz Ambroży jaki układ świata?
Księżyc i ziemia w koło słońca lata;
Ale ty nie wiesz czemu tak się dzieje?
Oto, — że słońce im świeci i grzeje.

RADA.

Wierz mi, com tyle przemieszkał na świecie,
Gdy szczęście, honor powierzasz kobiecie;
Niechaj ci nigdy z myśli nie wychodzi,
Żeś je wyprawił na morze wśród łodzi.

—

Choć się łódź szybka z objęć skał wyśliźnie,
Choć się jak delfin przemknie po mieliznie,
Jeszcze niepewne są twoje nadzieje,
Nieraz ją nawet i *bałwan* zaleje.

NADZIEJA I MŁODZIENIEC
WIARA I STARZEC.

NADZIEJA.

Płaczesz młodzieńcze! wyznaj powody,
Ja cię pocieszę, ja ci pomogę —

Tyś urodziwy, zdolny i młody
Chodź ze mną w drogę.
Ten świat tak piękny — tam wszystko łudzi,
Tam ujrzysz świetne hołdy dla cnoty,
Tam poznasz jaka dobroć u ludzi —
Porzuć tęsknoty.
Tam przyjaźń wierna, miłość przeczysta;
Za dobrodziejstwa wdzięczność rzetelna,
Za poświęcenie brzmi uroczysta
Pieśń nieśmiertelna.

—

Poszedł młodzieniec na to wezwanie,
Znalazł nie przyjaźń, lecz obojętność;
Znalazł za czyste serca kochanie,
Brudną namiętność.
Jeśli przypadkiem *spotkał się z cnotą*,
Znalazł ją cierpką i podejrzliwą;
Niecność z uśmiechem, strojną we złoto,
Grzeczną, szczęśliwą.
Za dobrodziejstwa słyszał szydzenia,
Co chętny poklask dla się zyskały;
Widział katownie za poświęcenia
Bez wdzięku chwały.
Wkońcu po długiej czasu kolei,

Młodzieniec starcem słabym powrócił,
Lecz już samotny, bo bez nadziei,
Ktorą śród drogi porzucił.

WIARA.

Płaczesz staruszku! oszczędź łez twoich,
Czyliż wszystkiemu koniec na ziemi?
Słuchaj z uwagą szczerych rad moich
I rządź się niemi.
Kiedy naturę zbadasz rozsądnie,
Nie przypadkowi dasz jéj władanie:
Tak wszystko mądrze, opatrznie, rządnie
Wyrachowanie.
Tu tylko dla was przechod niedługi.
Troska z uciechą jak wiatr przeleci —
Ta ziemia tylko miejsce zasługi
Co was zaleci.
Bluźnisz nadziei że cię zwodziła —
Nie odgadnąłeś jej przeznaczenia;
Zkądby się w tobie znalazła siła
Pójść na cierpienia?
Gdy jéj niewierzysz po ciężkiéj probie,
Ponękanemu losy i laty,
Za przewodniczkę mam służyć tobie
Na inne światy.

Tam jest nagroda — rozpogodź czoło,
Przestań przeszłości dręczyć się marą;
Chodź za mną starcze, śmiało, wesoło,
Chodź za mną Wiarą.

STARZEC.

Toś ty, o święta matko ludzkości!
Twój uśmiech czysty, twa słodka mowa,
Pełnaś dobroci, pełnaś mądrości
Córo Jehowa!
Wracasz pocieszyć duszę stęsknioną,
Wracasz, gdy wszystko zdradnie ucieka —
O niechaj będzie błogosławioną
Twoja opieka.
Ufny w mój rozum, w roskosze świata,
Jam cię pogardził, — a ty *przebaczysz*,
Jak dobre dziecię w stare me lata,
Wspierać mię raczysz.
Patrz jakie cuda na twe przebycie,
W jakimś uroku, w jakiejś żałobie,
Jak kwiat nadgrobny zakwitło życie —
Wiaro, cześć Tobie!

POKOJ WAM.

Walczyłem z sobą długo — o długo!
I mojej woli już jestem sługą.
Zawitał pokój. Po ciężkiej żałobie
Moje'm uczucia położył w grobie,
Ziemią zasypał i krzyż postawił
I *łzą matczyną pobłogosławił!*
Wieczny im pokój! *ach bo nie wiecie*
Jak zle uczuciom na naszym świecie.
Z rozpaczą w sercu i ze łzą w oku
W podartej sukni życia uroku,
Biedne sieroty, biedni tułacze
Próżno ich ręka do serc kołacze:
Nikt ich nie przyjmie, każdy wyśmieje,
Wypchnie na chłody, śnieg i zawieje.
Wieczny im pokój! trąba Anioła
Kiedyś ich z grobu na świat wywoła,
Lecz na świat inny dla innych ludzi,
Których ni złoto, ni pozór złudzi;
Ale jak Pan Bóg za swoje dary
Jedynie zechcą uczuć ofiary.
Wieczny im pokój! a ja tu sobie
Będę spokojny i tak już zrobię
Jak ludzie robią... już teraz wierzę,
Że najszczęśliwiej żyje tu zwierze.

Chodź moja lutni! moje kochanie,
I z tobą także wieczne rozstanie!
Lecz raz mi jeszcze swem cichem brzmieniem
W harmonji zlej się z mojem westchnieniem.
Ach! przypominasz tym mi obrazem,
Jak kochać, cierpieć i wzdychać razem,
Jest stokroć więcej nad samo szczęście;
Wtenczas dwie dusze czują zamęście
Na przyszłe wieki po ziemskim bycie,
Tam na jasności i na błękicie.
O powiernico! ty znasz me serce
Tak kochające, a w poniewierce,
Znasz moją duszę — znasz myśli moje,
Co niegdyś skrzętne jak pszczołek roje
Z kwiatów niebieskich ssały słodycze,
A dziś na ziemi jad i gorycze.
Żegnam cię, żegnam — muszę, potrzeba,
Bo nie dasz złota, ba — nawet chleba!
A wiesz co znaczy u nas ubóstwo?
A wiesz co złoto? to u nas Bóstwo —
Za złoto ziszczę każde życzenie,
Dobrą opinję, sławę, znaczenie,
Kopę przyjaciół, dziewic zaloty,
Wierność i ufność, miłość i cnoty;
Bo niech mię piorun, jeżeli kłamię,
Że wszystko, wszystko teraz jest w kramie.

KONIEC.



Cena exemplarza rs. 1.